

Wiadomość z Grenlandii

czyli

Jak przeszliśmy zimą
Arctic Circle Trail

Jędrzej Józefowicz



Koncepcja, redakcja, korekta:

Redakcja-Kreacja

Skład:

Patrycja Wojkowska
(Behance – portfolio)
patrycja.wojkwskaa@gmail.com

Projekt okładki:

Tomasz Fedor

Fotografie:

Jędrzej Józefowicz
Piotrek Kilian
Mariusz Duda
Krzysztof Kubiak

Wydawca:

Oficina Wydawnicza Kontynenty
ul. Klonowa 13
05-220 Zielonka
redakcja@magazynekontynenty.pl

Copyright © by Oficyna Wydawnicza Kontynenty 2024

Copyright © by Jędrzej Józefowicz 2024

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Wydanie I

Zielonka 2024

ISBN: 978-83-972159-2-4

Druk:

PRINT GROUP Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
ul. Księcia Witolda 7-9
71-063 Szczecin

Tę arktyczną opowieść dedykuję żonie Kamili
w podziękowaniu za miłość, cierpliwość
i dzielne oczekiwanie na mój powrót z Grenlandii

Wstęp

Oblewają ją wody Morza Baffina, Morza Labradorskiego, Morza Grenlandzkiego i Morza Norweskiego. Mimo że jest największą wyspą na świecie, o powierzchni ponad dwóch milionów kilometrów kwadratowych, to zamieszkuje ją tylko – według danych Grupy Banku Światowego na 2023 rok – 56 865 osób¹. Ponad piętnaście razy mniej niż najmniej zaludnione w Polsce województwo opolskie, które ma 936 725 mieszkańców².

Grenlandia, bo o niej mowa, w ponad osiemdziesięciu procentach pokryta jest przez lądolód. W 1991 roku odnotowano na nim -69,6 stopnia Celsjusza – najniższą temperaturę na wyspie. Najwyższa była na zachodnim wybrzeżu w lipcu 2013 roku: 25,9 stopnia Celsjusza. Najwyższym szczytem Grenlandii i jednocześnie całej Arktyki jest znajdująca się na wschodzie Góra Gunnbjørna mierząca 3694 m n.p.m. Wyspa posiada złoża ropy naftowej, uranu, złota, rubinów i wielu innych cennych i pożądanych minerałów.

Stolicą Grenlandii jest Nuuk liczące (dane na 1 stycznia 2024 roku) 19 880 mieszkańców. Drugie największe miasto – Sisimiut – zamieszkuje 5412 osób, a trzecie, Ilulissat – 4963. Żadne z kilkunastu miast i żadna z kilkudziesięciu osad nie jest połączona drogą, nie ma też linii kolejowych. Dlatego pasażerowie i towary transportowane są drogą morską lub powietrzną³.

* * *

Chciałbym, aby ta książka nosiła inny tytuł: *Jak pokałałem Arktykę*, niestety, wyprzedził mnie już inny autor⁴. I co ja teraz z tym moim uczuciem zrobię...? Czuję przecież, jak narasta, jak mnie coraz bardziej ogarnia – ani chybi przerodzi się w coś większego i jeszcze piękniejszego! Może nazwę je nieco inaczej? Fascynacja? Tak! Fascynacja. Poznajcie początki mojej fascynacji Arktyką! Dajcie się wciągnąć opowieści o moim wędrowaniu przez Grenlandię!

Ale sprzedam: z tej opowieści na pewno nie dowiedziecie się, jak żyje się Grenlandczykom, choć z miejsca mogę Was zapewnić, że nie mieszkają w igloo i że mają coś więcej do roboty niż tylko polowanie. A chłopiec z książki Centkiewicza nie mógł mieć na imię Anaruk⁵.

Nie liczcie też na reportaż na temat: spraw społecznych, polityki, edukacji, medycyny czy zmian klimatycznych. Za krótko na Grenlandii byłem, by zabierać głos w tak poważnych kwestiach. I nie po to tam byłem.

A jeśli nawet byłbym wystarczająco długo, to i tak bym się nie wymądrzał, bo nie czuję się w tych tematach kompetentny. Są już o tym inne książki.

Aha – mrozących krew w żyłach scen walki z wygłodniałymi niedźwiedziami polarnymi też tu nie znajdziecie. Ani heroicznych zmagañ z mrozem, który w sekundę zamienia wodę w lód. I nie na trawersowanie lądolodu grenlandzkiego, o którym w ostatnim czasie w polskich mediach było głośno za sprawą wypraw naszych rodaków, Was ciągnę. Wejdziecie w moje buty, poznacie kulisy wyprawy, pociągniecie ze mną kilkudziesięciokilogramowe sanki, na których będzie cały Wasz dobytek. Będziecie topić śnieg, by wypić herbatę, rozbijać namiot, gotować, spać w śpiworze do -40 stopni Celsjusza. Spotkacie na tej mojej drodze ciekawych ludzi, nawet na środku zamarzniętego jeziora. Może i w Was zacznie się rodzić, narastać taka sama arktyczna fascynacja...? Albo przestaniecie bać się marzyć i zaczniecie realizować pomysły – różne, choćby i szalone, a niekoniecznie związane z podróżami. Bo jeśli mnie się coś udało, to dlaczego nie miałyby się udać i Wam...?

No więc tak: to będzie opowieść o tym, jak ja, Jędrzej Józefowicz, przeszedłem – tam i z powrotem – najszlenniejszy szlak długodystansowy na największej wyspie świata, biegnący wzdłuż koła podbiegunowego, znajdujący się w zachodniej części Grenlandii Arctic Circle Trail. Jego podstawowy wariant prowadzi

od Sisimiut do Kangerlussuaq. A dodatkowy – z Kangerlussuaq do łądolodu grenlandzkiego. Szlak według oficjalnych źródeł przecina obszar Aasivissuit-Nipisat, wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w 2018 roku.

„*Aasivissuit* oznacza »obozy letnie« i tak został nazwany, ponieważ było to idealne miejsce dla nomadów Eskimosów, którzy mogli spotykać się z innymi rodzinami podczas sezonowych polowań na karibu w głębi łądu. Pozostałości na miejscu sugerują, że zaczął on być uczęszczany około 4500 lat temu i było tak aż do końca lat pięćdziesiątych XX wieku”⁶.

Arktyczną trasę można przejść o każdej porze roku. Najczęściej turyści wybierają okres letni, bo panują wówczas dodatnie temperatury, szlak nie jest zasypany śniegiem, prowadzi dookoła jezior, szczytami gór, przez arktyczną tundrę i błotniste tereny. Według przewodnika Paddy’ego Dillona trasa w podstawowej wersji liczy w jedną stronę sto sześćdziesiąt pięć kilometrów. Chcąc dotrzeć do łądolodu, a dokładnie do Ice Cap Point 660, trzeba dodać jeszcze jakieś czterdzieści kilometrów. Zimą trasa przebiega zupełnie inaczej. Warunki są trudniejsze, surowsze, pogoda jest mniej przewidywalna, ale stop! Wszystko w swoim czasie. Nie będę od razu wszystkiego zdradzać. Dorzucę tylko tyle: zimowe przedsięwzięcie wymaga z pewnością większego doświadczenia, zupełnie innego sprzętu i podejścia do przygotowań.

Jak powstał Arctic Circle Trail? – to również ważne pytanie.

W odpowiedzi na nie pomoże mi Australijka Lisa Germany. Przedstawię ją Wam w jednym z rozdziałów. Ciekawa osoba – do niedawna sama nie znała dobrze historii szlaku, ale w 2024 roku przeprowadziła rozmowę z Bjarne Ljungdahlem, pomysłodawcą trasy. Ten duński geolog, od kilku lat pracujący na Grenlandii, wpadł na pomysł wytyczenia szlaku podczas wędrowki znaną trasą długodystansową Kungsleden w Szwecji. Uważał, że Grenlandia też powinna mieć taką drogę, bo wielu ludzi było zainteresowanych aktywnością na łonie natury, spacerami, przyrodą. W tym czasie Bjarne był prezesem Stowarzyszenia Turystycznego w Sisimiut, pracował na pół etatu jako geolog, a jakiś czas później został dyrektorem szkoły budowlanej, obecnie KTI (Kalaallit Nunaanni Teknikimik Ilinniarfik), w języku angielskim Tech College Greenland.

Prace nad przygotowaniem trasy podjęto w latach 1977 i 1978. Ukończono jej wytyczanie w 1979 roku.

– Dobry szlak turystyczny nie powinien być zbyt bagnisty ani zbyt stromy. By zrealizować to założenie, korzystano z wiedzy z zakresu geologii i geografii – tłumaczy mi Lisa.

Bjarne’a wspomagało osiem osób: duńskich i grenlandzkich studentów oraz absolwentów, którzy mieli

doświadczenie w pieszych wędrówkach i znali się na rzeczy. Duński geolog wraz z Komitetem ds. Turystyki Pieszej na Grenlandii w 1979 roku wspomniał nawet o szlaku w jednej z duńskich publikacji pod tytułem *Vandrerruter i Vestgrønland: Sdr. Strømfjord/Holsteinsborg*. Znalazł się w niej krótki opis każdego etapu trasy, a także coraz bardziej popularnej trasy południowej.

W jednym z artykułów „Washington Post” i na stronie internetowej polarrouuten.net pojawia się nazwisko jeszcze jednej osoby związanej ze szlakiem – Johanne Bech.

– Dzięki jej pomocy trasa została udoskonalona od końca lat siedemdziesiątych XX wieku w kilku miejscach. Zasadniczo jednak za wiele się nie zmieniło i obecny szlak wiedzie po śladzie pierwotnym – opowiada Lisa.

W „Washington Post” z 2018 roku czytam, że Johanne wraz z kilkusobową grupą na początku lat dziewięćdziesiątych wzniosła pierwsze kamienne kopce, które wskazują drogę wędrowcom⁷. Na stronie Destination Arctic Circle czytam, że Johanne Bech jest jednym z niewielu na świecie pełnoetatowych kierowców psich zaprzęgów, tzw. maszerem. W 2009 roku za pracę na rzecz krzewienia kultury Grenlandii zdobyła nagrodę krajową⁸.

„Zimą organizuje rocznie prawie tysiąc wycieczek psim zaprzęgiem z Kangerlussuaq. Pozostałą część roku spędza w Sisimiut, gdzie jej rodzina prowadzi także najważniejszy sklep outdoorowy w regionie koła podbiegunowego – Sisimiut Outdoor” – brzmi fragment tekstu⁹.

Czterysta czterdzieści kilometrów w dwadzieścia trzy dni – taki w sumie pokonałem dystans, idąc w zimowych warunkach przez Arctic Circle Trail tam i z powrotem. Nie byłem sam – miałem współtowarzysza wyprawy, którego poznamie w dalszej części książki. Ale uwaga, przestrzegam! Ta opowieść to nie jest gotowa recepta na sukces, przewodnik czy poradnik, z którym przejdziecie szlak. Traktujcie ją jako inspirację. Bądźcie świadomi, że nikt za Was się nie przygotowuje. To Wy znacie siebie najlepiej, musicie więc znać swoje możliwości. Nie macie doświadczenia w wędrowaniu? Nic nie szkodzi – zacznijcie od szlaków w Polsce, od wędrówek w ciepłych krajach. Jeśli zaś będzie Was ciągnąć do zimy, to najpierw w polskich górach sprawdźcie, jak to jest biwakować w minusowych temperaturach. Zobaczcie, czy Wasz sprzęt zda egzamin. Ja za Wasze decyzje żadnej odpowiedzialności nie biorę.

Zapytacie, dlaczego tak się zastrzegam? Czyżbym chciał Was zniechęcić?

Rok po naszej wyprawie, w 2024 roku, na Arctic Circle Trail wybrały się trzy ekipy Polaków. Członkowie dwóch byli na moich prelekcjach, a po ich zakończeniu podchodzili i pytali o różne aspekty tego zimowego przejścia. Jedna z ekip przyjechała nawet do mojego garażu i oglądała sprzęt. Po wszystkim piliśmy herbatę w moim domu. Jedni i drudzy cali i zdrowi wrócili

z Grenlandii. O trzeciej ekipie usłyszałem krótko po tym, gdy grenlandzki portal napisał o ewakuacji dwóch wędrowców ze szlaku. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że byli to Polacy. Poinformowały mnie o tym drogą mailową i na portalu społecznościowym dwie osoby mieszkające na Grenlandii.

„W weekend dwóch zagranicznych turystów wybrało się na wycieczkę z Sisimiut do Kangerlussuaq. Jednak po trzech dniach trzeba było im pomóc wrócić do Sisimiut po pomoc medyczną. Według Lisy Germany doznali odmrożeń i zostali ewakuowani do Sisimiut przez straż pożarną i mieszkańców” – przekazało 14 marca 2024 roku grenlandzkie czasopismo „Sermitsiaq”¹⁰. Jednemu Polakowi podobno groziła nawet utrata palców u stóp. Czy tak się stało? Nie wiem.

Od znajomych dowiedziałem się, że te dwie ewakuowane osoby także były na mojej prelekcji. Ale nigdy nie kontaktowały się ze mną. A ja i tak – w pierwszym momencie – winę za ich nieszczęście chciałem brać na siebie. Tylko... czy to ja naraziłem ich na odmrożenia? Owszem, moje prelekcje są relacją z wyprawy, okraszone poczuciem humoru, zdjęciami i filmami. Nie brakuje anegdot z życia wędrowca i praktycznych ciekawostek. Podobnie podchodzę do pisania książek. Ale – jeszcze raz zastrzegę – zarówno prelekcje, jak i książki, nie są gotowym poradnikiem. Każdy musi mieć swój rozum i odpowiadać za swoje decyzje. Kiedyś ja zainspirowałem się podróżą pewnego podróżnika, teraz inni

inspirują się moją. Ale sama inspiracja to nie wszystko. W życiu wysłuchałem wielu prezentacji himalaistów, przeczytałem i przesłuchałem sporo książek wybitnych wspinaczy, ale nie oznacza to, że od razu wybieram się w Himalaje.

* * *

Wyprawa na Grenlandię była moim wielkim marzeniem. Wyczekiwany, dobrze zaplanowany. Mimo że trwała miesiąc, to do teraz nie mogę uwierzyć, że w ogóle się odbyła. A tu – no proszę – trzymam już w dłoniach książkę z tej podróży. Drugą napisaną przed trzydziestką. Z pewnością trafi na półkę w domowej biblioteczkę, między inne, znane mi książki o tematyce arktycznej. Będę się wpatrywał w nią godzinami.

Cieszę się, że i do Was dotarła! A teraz – przygotujcie się! Przed nami długa, wyjątkowa i mroźna droga.

Rozdział 1

Pierwsza myśl o Grenlandii

Sierpień 2018 roku, Środa Wielkopolska

Właśnie wróciłem z Islandii, gdzie spędziłem dwa tygodnie. I nie potrafię przestać o niej myśleć. Przez kilkanaście dni byłem zamknięty w „książce od geografii”. Ciężko powiedzieć, czego na Islandii nie widziałem. Przejechałem łącznie dwa tysiące czterysta kilometrów wypożyczonym samochodem.

Jeszcze moje tęsknoty za Islandią nie wygasły, a już nurtuje mnie pytanie: „Co jest jeszcze dalej niż Islandia, co jest bardziej na północ?”. Odpowiedź przychodzi szybko: Grenlandia.

„A gdyby tam pojechać i zjechać ją jak Islandię?” – prowadzę wewnętrzny dialog. Przeglądam w internecie atrakcje turystyczne na Grenlandii i... nie, to za droga impreza, zapomnij. Zapomniałem. Ale nie na długo.

Rozdział 2

Już wiem!

Maj 2019 roku, Warszawa

Jestem w Warszawie na wydarzeniu Siła Marzeń – Festiwal Przygody. To pierwsza edycja festiwalu podróżniczego organizowanego przez Miłkę Raulin, najmłodszą Polkę, która zdobyła Koronę Ziemi. Poznaliśmy się kilka miesięcy wcześniej w Poznaniu na innym wydarzeniu. Wówczas nagrałem z nią zaproszenie na mój festiwal – Zaniemyski Dzień Podróżnika. Także pierwszą edycję.

Do Warszawy nie przyjechałem opowiadać o podróżach. Zostałem nominowany w konkursie, w kategorii „Podjąłem wyzwanie i...”. Moja wędrówka do Santiago de Compostela i plany na drogę ze Środy Wielkopolskiej do Rzymu wzbudziły szacunek wśród jury. Niestety, niewystarczający, by zgarnąć główną nagrodę – dwa tysiące złotych. Ale to nic. Lubię jeździć na tego typu wydarzenia. Świetnie jest się inspirować opowieściami

innych podróżników, a nawet wspinaczy. Słuchałem prelekcji legendarnego Krzysztofa Wielickiego – pierwszego człowieka, który zdobył zimą Mount Everest, piątego, który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum. A także Artura Małka, pierwszego z zimowych zdobywców Broad Peak, uczestnika narodowej zimowej wyprawy na K2. Usłyszałem także niezwykłą opowieść Michała Worocha o podróży z Ziemi Ognistej na Alaskę. Ale to nie oni w tych dniach byli najważniejsi. Ja tu przyszedłem dla Jakuba Rybickiego i jego relacji z rowerowej przygody na szlaku Arctic Circle Trail na Grenlandii.

Siedzę w jednym z pierwszych rzędów i czekam. Po chwili na scenę wchodzi Jakub i zaczyna opowiadać. Ma na sobie radosną, kolorową koszulkę, mało pasującą do arktycznych opowieści, na głowie zabawnie zawiązany kok. Na nosie okulary, a w dłoni mikrofon. Jest fotografem, więc w oczy od razu rzucają się profesjonalne zdjęcia wyświetlone na ekranie za jego plecami, ujęcia z drona. Nagrania jadącego po śniegu rowerem. Widzę warunki panujące na szlaku, zorzę polarną, zdjęcia, patrzę, jak Jakub i jego przyjaciel pchają rowery, bo ciężko im nieraz było jechać po grubej warstwie śniegu. Jestem pod wrażeniem. Słucham z uwagą i – olśnieniem! Już wiem! Już wiem, co będę robić na Grenlandii. Skoro oni tam byli rowerami, to ja ten szlak przejdę pieszo.

Rozdział 3

Pięć lat oczekiwania

28 lutego 2023 roku, Środa Wielkopolska

Kilkuletnie marzenie wkrótce się ziści. Jutro wraz z Piotrkiem, moją narzeczoną Kamilą i jej przyjaciółką Gosią wyjeżdżamy do Kopenhagi. Ze stolicy Danii polecimy 2 marca na Grenlandię, ale już bez dziewczyn. Zostaną w Kopenhadze na kilka dni, chcą zobaczyć miasto. Jest 23:49, sanki, owinięte folią, leżą na środku salonu w moim mieszkaniu. O jedne oparty jest czerwony plecak Piotrka, mój – czarny – leży obok. Siedzimy wykończeni wielogodzinnym pakowaniem. Miesiące gromadzenia sprzętu, treningów, poszukiwań partnerów, wypełniania tabelk w Excelu, próbne pakowania – już za nami! Czas wziąć prysznic i położyć się spać. Za trzy godziny musimy wstać.

By doszło do tego momentu, musiało minąć pięć lat. Pięć lat marzenia, zastanawiania się, życia

w szarej rzeczywistości, przeplatanej mniejszymi wyjazdami. Na Grenlandię chciałem polecieć o wiele wcześniej. Nie myślałem, że ucieknie tyle czasu. W grudniu 2019 roku wystąpiłem na 4. Średzkim Dniu z Przygodą w moim mieście. Opowiadałem o wędrowce ze Środy do Rzymu. Po mnie – jako główny gość – głos zabrał Jakub Rybicki. Tak, ten Jakub. Opowiedział o jeździe po zamrzniętym Bajkale. Po prelekcji poszedłem do niego pytać o Grenlandię. Wspomniałem o moim marzeniu oraz o festiwalu w Warszawie. Rozmawialiśmy między innymi o łączności ze światem, gdy jest się na szlaku pozbawionym zasięgu. Radził też, bym zabiwakował gdzieś w Polsce zimą. Już wtedy Jakub powiedział mi, że jeśli będę potrzebował przed wyjazdem więcej porad, to służy pomocą.

Styczeń 2020 roku, Beskid Żywiecki

Natchniony rozmową, udałem się w styczniu wraz z Tomkiem – kumplem z Katowic, który przez krótki czas był moim współtowarzyszem podczas wędrowki do Rzymu – w góry. Pojechaliśmy w Beskid Żywiecki. Przeszliśmy z plecakami dwadzieścia osiem kilometrów, rozbiliśmy namiot. To miał być test przed Grenlandią, na którą planowałem polecieć w 2021 roku. Chciałem sprawdzić, jak to jest spać w namiocie, gdy na zewnątrz mróz i śnieg. Ta wspólna wędrowka miała być również

testem naszego duetu. Proponowałem Tomkowi wyjazd na Arctic Circle Trail. Między nami jest dobrych kilka lat różnicy. Nie znałem nikogo bardziej doświadczonego. Wychował się w górach, ma za sobą wiele wędrówek w Polsce i za granicą. Czułbym się z Tomkiem bezpiecznie na szlaku. Nie wyobrażałem sobie polecieć na Grenlandię samemu. Wydawało mi się to zbyt niebezpieczne. Tomek ostatecznie odmówił. Zgodziłby się, gdybym chciał na Grenlandię polecieć latem, kiedy nie ma na szlaku śniegu ani mrozu. Szlak latem wydawał mu się atrakcyjniejszy, skąpany w kolorach, a nie tylko w bieli. Tłumaczył, że nie zamierza zapadać się w śniegu, walczyć z niepewną pogodą. Wędrówka ma dawać przyjemność.

Moje pierwsze skojarzenie z Grenlandią to śnieg i lód – taką chciałem ją poznać. Wierzyłem, że Tomka jeszcze namówię. W wakacje mieliśmy polecieć na Islandię i przejść pewien szlak. Niestety, kilka miesięcy wcześniej świat opanowała pandemia koronawirusa i wszystko się zmieniło. Obostrzenia na Islandii uniemożliwiły wyjazd. Nowym kierunkiem miała być Norwegia, ale krótko przed lotem to też stało się niemożliwe. Ostatecznie z Tomkiem wylądowaliśmy na Malcie. Z wędrowców staliśmy się turystami.

Wyprawa na Grenlandię w 2021 roku stawała się coraz bardziej nierealna. Pandemia rozkręcała się. Planowanie czegokolwiek stało się bezsensu. „Wydam pieniądze i nie polecę, bo zakażą lotów” – mówiłem

do siebie. Zadawałem sobie też pytanie – „kto w miejsce Tomka?”. Nie było kandydata. A ja przecież jeszcze studiowałem, więc wyjazd zimą wiązałby się z opuszczeniem obowiązkowych zajęć, egzaminów, a po wyprawie nadrabianiem zaległego materiału. Nic nie szło po mojej myśli.

Rozdział 4

Do zobaczenia, Bracie!

27 kwietnia 2021 roku, Kluczbork

Kiedy wydawało mi się, że nic nie idzie po mojej myśli, wydarzyło się coś znacznie gorszego, okropnego i tragicznego. Coś poza skalą i poza wszelkimi moimi wyobrażeniami. Na samą myśl łyzy wypełniają mi oczy... Po dwóch miesiącach od pierwszej diagnozy zmarł mój jedyny brat. Fabian był ode mnie jedenastcie lat starszy. Zdiagnozowano w jego mózgu glejaka. Odszedł 27 kwietnia w szpitalu w Kluczborku, osiem miesięcy po ślubie. Nasz świat się zawalił. Bólu, tęsknoty, pustki nie da się opisać. Mimo różnicy wieku byliśmy jak rówieśnicy. Dogadywaliśmy się, byliśmy za sobą, mieliśmy bardzo dobry kontakt. Ciężko mi wskazać wśród ludzi, których znam, drugie tak kochające się rodzeństwo. Zawsze się wspieraliśmy. Zawsze mogliśmy na siebie liczyć w lepszych i gorszych chwilach. Kiedy jeden potrzebował rozmowy, drugi zawsze miał czas.

Fabian był dla mnie więcej niż bratem. Pilnował, bym miał olej w silniku samochodu, pytał, czy w pracy wszystko w porządku. W jednej firmie pracowaliśmy nawet razem, to była moja pierwsza poważna praca. Martwił się przed każdą z większych podróży, ale kibicował mi i wspierał. Zapamiętam go jako dobrego, wrażliwego człowieka. Pracowitego, solidnego, uczciwego. Kochającego naszą mamę Beatę, w której miał wielką przyjaciółkę, żonę Natalię, przy której był szczęśliwy. Wiosna już do końca mojego życia będzie kojarzyć mi się z tym, że mój brat, gdy pojawiały się pierwsze promienie słońca, wsiadał na motocykl i jeździł po okolicy.

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego taka tragedia spotkała naszą rodzinę. Nie umiem się z tym pogodzić. Zadaję sobie pytanie, dlaczego moja mama równe trzydzieści lat po śmierci swojego pierwszego męża, czyli ojca Fabiana, musi przeżywać na nowo tak straszne chwile. Staram się być silny, nie płakać i nie rozpaczać. Po to, by brat, tam, gdzie teraz jest, w lepszym świecie, się o nas nie martwił. Ale też by nie dokładać mamie.

Jak dobrze, że nie doszło w tym roku do mojego wyjazdu na Grenlandię. Nie wyobrażam sobie ostatnich tygodni życia mojego brata spędzać na szlaku. To nie miało prawa się odbyć ani tym bardziej udać. W takich chwilach marzenia, plany, cele nie mają kompletnie znaczenia. Gdy piszę te słowa, jest 9 maja 2023 roku. Niedawno minęła druga rocznica śmierci mojego brata. Bardzo tęsknię za Tobą, Fabian.

Rozdział 5

Wielki dzień

1 marca 2023 roku, Środa Wielkopolska

Obudziliśmy się po około trzech godzinach snu. Kamila, ja i Piotrek chodzimy po mieszkaniu jak zombie. Jemy śniadanie. Czas się zwijać. Gdy jesteśmy już gotowi, przed blok podjeżdża mój ojciec. Pożyczył od szefa samochód. Zawiezie nasz dobytek na dworzec. W zwykłą osobówkę nie zapakowalibyśmy sanek. Nasza trójka wskakuje do samochodu mojej mamy. Mój od wczoraj jest już w garażu, więc trzeba sobie jakoś radzić. Jedziemy po Gosię, dwie ulice obok. Kieruje się tragicznie. Na stopach mam grube, zimowe buty, kupione specjalnie na arktyczną wyprawę. Ledwo czuję pedał gazu. Jadąc na dworzec, zajeżdżamy jeszcze po moją mamę, samochód przecież musi wrócić na swoje miejsce. Ojciec już czeka, wypakowujemy sanie. Mam na sobie grubą, czerwoną, do -30 stopni Celsjusza kurtkę,

polar, ciepłe spodnie i wspomniane buty. Wyciągając sanie z samochodu, czuję, jak mnie rozpiesza radość. My serio ruszamy na Grenlandię! Jest wcześnie rano, na zewnątrz jeszcze ciemno. Kilka osób na peronie. Czekają na pociąg, zapewne pojedą do pracy. My z saniami i plecakami. Jest moja mama, jest tata. To dość zabawne widzieć ich stojących niedaleko siebie, tym bardziej, że w tym roku mija dziesięć lat od ich rozvodu.

Na dworzec w Środzie dociera jeszcze redaktor naczelny lokalnej gazety. Kolega Mariusz z żoną. Pracowałem z nim przez ponad dwa i pół roku w redakcji, będąc m.in. przez ponad rok jego zastępcą. Z jednej strony miło, że przyszli, bo wrzucą do internetu zdjęcie i nagranie, informując mieszkańców powiatu o rozpoczęciu wyprawy. Wiem, z jak wielkim zaciekawieniem ludzie śledzili moją wędrówkę do Rzymu. Domyślam się, że z Grenlandią będzie podobnie. Z drugiej strony jestem trochę zmieszany. Za chwilę przyjedzie pociąg, a więc to ostatnie chwile z mamą i tatą, a muszę jeszcze poświęcić kilka minut redaktorowi. Na szczęście Mariusz dobrze wyczuł sytuację i mogłem jeszcze porozmawiać z rodzicami.

Nadjeżdża pociąg. To pierwszy ze smutnych momentów wyprawy. Tulę się do mamy, ściskam ją bardzo mocno. Zbijam piątkę z tatą, ściskamy się i klepiemy po plecach. Wchodzę do wagonu. Stoję przy drzwiach i patrzę na nich tak długo, dopóki nie odjedziemy. Drzwi się zamykają – patrzę. Teraz najbardziej na mamę.

Klepię się otwartą dłonią po sercu. Pociąg rusza. Salutuję. Mama płacze. Bardzo mocno. Tata trzyma dłoń w górze i kiwa. Dalej na nich patrzę, póki nie stracę ich z oczu. Widok płaczącej mamy wzrusza i głęboko zakorzenia się w mojej głowie. Będzie do mnie wielokrotnie powracać w trakcie wędrówki. Odkąd nie ma z nami mojego brata, mamuśka każdy mój wyjazd mocniej przeżywa. Wcześniej aż tak nie miała. W końcu to jej zawdzięczam tę pasję. Teraz się martwi, bo jak tłumaczy, zostałem jej tylko ja.

Siedzimy na tyłach pociągu. Celowo, by nikomu nie przeszkadzać, nie blokować przejścia. Przed nami tylko trzydzieści minut z hakiem jazdy do Poznania. Mimo naszych dobrych intencji, konduktor nie jest zbyt zadowolony. Mówi, że powinniśmy mieć wykupiony dodatkowy bilet. Upomina, że podstawowy uprawnia do przewozu bagażu nad siedzeniami. Nie pomyśleliśmy o tym wcześniej, w końcu to tylko przewozy regionalne. Konduktorowi tłumaczymy, że to wyjątkowa sytuacja: wybieramy się na arktyczną wyprawę – na Grenlandię! Mężczyzna kręci nosem, lecz ostatecznie nam odpuszcza. Idzie do innych pasażerów, w głąb pociągu.

Zanim dotrzemy na największą wyspę świata, minie jeszcze wiele godzin. Wsiadamy w Poznaniu, musimy dotrzeć na dworzec autobusowy. Nie jest daleko, ale taszczyliśmy ciężkie sanie: jedno trzydziestopięciokilogramowe i drugie trzydziestojednokilogramowe. Idziemy nowym tunelem niedaleko peronu pierwszego.

Nasza czwórka idzie razem. Ja i Kamila z jednymi sankami, Piotrek i Gosia z drugimi. Dziewczyny mimo swojej zawziętości i siły nie są w stanie pokonać całej odległości w tym układzie. Po pewnym czasie zmieniamy taktykę. Gosia zostaje z jednymi sankami i czeka. My z Piotrkiem bierzemy drugie. Kamila idzie z nami. Zostawiamy je w miejscu, w którym podjedzie nasz autobus. Kamila pilnuje bagażu, a my z Piotrkiem idziemy po Gosię i drugie sanki. Nam też nie idzie się lekko. Ledwo przespana noc, szybkie śniadanie, mnóstwo emocji. Im bliżej celu jesteśmy z drugimi saniami, tym bardziej wbijają mi się w dłonie. Robimy z Piotrkiem kilka przerw. Po dotarciu pozostaje oczekiwanie na autobus. Marzymy, by jak najszybciej spakować sanie i jechać do Berlina, gdzie czeka nas przesiadka na drugi autobus, tym razem do Kopenhagi.

W Poznaniu idzie gładko. Jesteśmy jednymi z pierwszych pasażerów. Luk bagażowy pusty, możemy śmiało pakować sanie. Po nas zaczyna się formować kolejka. Wszyscy zajmują swoje miejsca, ruszamy do Berlina! Rozpoczyna się kolejny etap podróży. Dopóki jedziemy do granicy z Niemcami, jesteśmy spokojni i wszystko idzie po naszej myśli. U naszych zachodnich sąsiadów zaczynają się problemy. Najpierw korki na autostradzie. Ale to było do przewidzenia. Gorzej robi się później. Przed autobus zajeżdża radiowóz policyjny. Na dachu pojazdu miga sygnał świetlny. Kierowca autobusu zjeżdża na parking przy autostradzie. Wchodzi dwóch

policjantów. Chcą zobaczyć dowody osobiste lub paszporty wszystkich pasażerów. Na naszą czwórkę nie zwracają zbytnio uwagi. Za to obywatele Ukrainy sprawdzają bardzo dokładnie. W Ukrainie trwa od ponad roku wojna. Wiele osób uciekło i wciąż ucieka na zachód. Nie wiem, dlaczego, ale kilku Ukraińców policjanci wyprowadzają z autobusu. Zanim do tego doszło, minęło dobrych kilkadziesiąt minut. Z Kamilą stresujemy się, czy zdążymy na drugi autobus. Od początku nie mieliśmy zbyt wiele czasu na przesiadkę, a po korkach i kontroli tego czasu zostało jeszcze mniej. Nerwowo patrzymy w nawigację w telefonie. Będziemy wlepiac w nią wzrok już do końca. Na przesiadkę zostanie nam kilka minut, o ile w ogóle coś zostanie. Gdy jesteśmy pod Berlinem, autobus wykręca na jedno z lotnisk, zostawia kilku pasażerów. Znowu tracimy czas i znowu się stresujemy. Do głównego dworca autobusowego dojeżdżamy na ostatnią chwilę. Wyciągamy sanki z prędkością światła i zmierzamy do kolejnego autobusu. Ku naszemu szczęściu również jest spóźniony i jeszcze go nie ma.

2 marca 2023 roku, Kangerlussuaq, Grenlandia

Niech mnie ktoś uszczypnie! Naprawdę jesteśmy na Grenlandii? TEJ Grenlandii?

Po długiej, zawilej podróży docieramy na największą wyspę świata. Wylądowaliśmy w środkowo-zachodniej Grenlandii, w Kangerlussuaq, niewielkiej miejscowości

zamieszkiwanej przez 517 osób (dane na 1 stycznia 2024 roku)¹¹, w której znajduje się największy port lotniczy na wyspie¹². Tuż obok ciągnie się na ponad sto osiemdziesiąt kilometrów fiord. Na stronie internetowej linii lotniczych Air Greenland czytam, że początki lotniska sięgają 1941 roku. Miejscowość została założona przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Była bazą wojskową o strategicznym znaczeniu.

Po nocy na lotnisku w Kopenhadze w końcu jesteśmy! Ale to jeszcze nie koniec wrażeń. Czeka nas druga noc na lotnisku, a rano lot do Sisimiut. Stamtąd rozpoczniemy naszą wędrówkę.

Zanim tu się znaleźliśmy, w Berlinie przesiedliśmy się do drugiego autobusu. Kierowcy nie byli tak uprzejmi jak w Poznaniu. W luku bagażowym nie było prawie miejsca, mówili, że naszych sanek nie da się spakować, mimo że mieliśmy wykupiony dodatkowy bagaż. Nie pomogli nam, zostawili, poszli do innych pasażerów. Z Piotrkim musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce. Wypakowaliśmy kilka walizek z jednej strony autobusu i zaczęliśmy układać na nowo. Miejsce na sanki się znalazło. Autobus z nami na pokładzie jechał w kierunku Danii. Wielogodzinną podróż uatrakcyjnił jeszcze wjazd w Niemczech na prom. Popłynęliśmy na drugą stronę Bałtyku. Do Kopenhagi docieramy w godzinach wieczornych.

Chcąc dotrzeć z dworca głównego do metra, znów musimy zorganizować się jak w Poznaniu. I mieć znacznie więcej sił, bo droga jest zdecydowanie dłuższa. Zmęczenie drogą do Danii i noszeniem sprawia, że śmiejemy się w głos. Ludzie nam się przyglądają. Patrzą z zaciekawieniem, nieraz ze zdziwieniem na to, co niesiemy. Ciemność i delikatne światło latarni przydają tajemniczości naszym owiniętym folią bagażom. Niektórzy mijając, posyłają dyskretny uśmiech. – Przydałyby się tymczasowe kółka w sankach – rzucam do Kamili i Piotrka. Gosia została z jednymi sankami kawałek za dworcem autobusowym. Za chwilę po nią wrócimy.

Gdy wsiadamy do metra, każdy odczuwa wielką ulgę. Najgorsze za nami. Koniec dźwigania! Na lotnisku powinny być już wózki, więc jesteśmy spokojni. I faktycznie, są! Chwila radości jednak szybko się ulatnia. Na lotnisku dojdzie do drugiego smutnego momentu w trakcie wyprawy. Muszę pożegnać się z narzeczoną. Zobaczymy się dopiero za miesiąc. To pierwsze nasze tak długie rozstanie, więc jest to dla nas trudny i wzruszający moment. Podczas pobytu na Grenlandii będziemy mieć ze sobą kontakt tylko przez komunikator satelitalny. Daje on możliwość wysyłania krótkich wiadomości tekstowych.

Kamila i Gosia odjechały do centrum miasta. Nie chcieliśmy ich przetrzymywać za długo na lotnisku. Było już późno, a one musiały jeszcze zameldować się w hostelu. My zaś z Piotrkim poszliśmy szukać

na lotnisku odpowiedniego miejsca do spania. Gdy je znajdujemy zastawiamy się wózkami i saniami, wyznaczając tym sposobem nasze terytorium. Rzucamy coś na ząb, popijamy alkoholem. Piotrek wyciągnął z plecaka whisky. Śpimy na zmianę. Jeden czuwa, pilnuje bagażu, a drugi śpi. Noc jest ciężka, szczególnie wtedy, gdy muszę wstać i czuwać.

* * *

Jest 9:30, wreszcie siedzimy w samolocie, czekamy na start. I to w jakim samolocie! To nowy Airbus A330-neo dostarczony liniom grenlandzkim – Air Greenland – 6 grudnia 2022 roku w Tuluzie we Francji. Gigant! Tak wielkie robi na mnie wrażenie, że pierwszy raz od dawna nie boję się lecieć. A boję się latać. Nieraz setkę przyjąłem na odwagę przed startem. Przy jednym oknie dwa fotele, później przerwa i nasze cztery, znów przerwa i kolejne dwa miejsca. W każdym fotelu zamontowany ekran dotykowy. Do wyboru filmy, muzyka, gry oraz podgląd z kamery na dziobie i podwoziu samolotu. Wiele razy w życiu leciałem samolotem, ale najczęściej są to tanie linie lotnicze, więc tym bardziej nie mogę teraz wyjść z zachwytu, widząc ten. Dla zamożnych ludzi taki widok to zapewne standard.

– Piotras, lecimy na Grenlandię! – rzucam do Piotrka kilka razy to samo zdanie. Patrząc w ekran i zerkam na mapę. Wpatruję się w Grenlandię. – To się naprawdę

dzieje! – tym razem mówię do siebie. Najpierw na głos, później w myślach.

Po blisko czterech godzinach lotu lądujemy. Idąc korytarzem w samolocie, nie mogę doczekać się pierwszego kontaktu z wyspą. Pierwszego łyku powietrza. „Ciekawe, ile stopni jest na zewnątrz?” – zastanawiam się. Wyszedłem, idę, nie jest źle. Przyjemnie, nie wieje jak po wyjściu z samolotu na Islandii. Po chwili czuję szczypiący mróz w nozdrzach. „Witaj, Grenlandio! Mam nadzieję, że będziesz dla nas łaskawa” – mówię do siebie w myślach.



Dworzec w Środzie Wielkopolskiej. Na zdjęciu: Kamila, ja, Gosia i Piotrek



Jesteśmy na Grenlandii? TEJ Grenlandii?



Rozdział 6

Piotrek – łowca przygód i człowiek bez układu nerwowego

Piotrek przyjechał, z Piotrkiem poleciałem, Piotrek to i tamto. Piotrek, Piotrek, kim jest ten Piotrek i skąd się w ogóle wziął? To dobry moment na przedstawienie mojego współtowarzysza wyprawy. Na początku była mowa o Tomku, a tu nagle Piotrek. Tomek się nie zdecydował, co już wiecie. Więc poszukiwania trwały. Podpytywałem różnych znajomych, ale nikt nie chciał. Każdy miał wytłumaczenie lub po prostu zwyczajnie nie chciał lecieć.

– Grenlandia? Przecież tam jest zimno – słyszałem najczęściej.

Poznajcie zatem Piotra Kiliana, choć on woli, jak przedstawia się go jako Pirata Dyplomate, bo właśnie pod taką nazwą działa w internecie. Istebnianin, rocznik 1995, czyli dwa lata starszy ode mnie.

Poznaliśmy się w październiku 2020 roku. Przypadkiem znalazłem się na czwartych urodzinach Instytutu Śląska Cieszyńskiego. Namówiła mnie znajoma z Wisły. Myślałem, że pójdziemy na zwykłą prelekcję podróżniczą albo jakiś mały festiwal. A tu urodziny! Instytutu! Jak to wszystko poważnie brzmiało. A jak tam dostojnie było! Domek myśliwski, catering, suto zastawiony stół, alkohol. Wszyscy elegancko ubrani, białe koszule, marynarki, wystąpienia, przemowy. „Gdzie ja jestem? Co ja tu robię?” – pytałem samego siebie. I w tej całej poważnej i dostojnej atmosferze wyluzowany i uśmiechnięty on! Piotrek. Długie włosy, broda, okulary i też marynarka. Za chwilę zacznie opowiadać o swoich niesamowitych wożażach: Meksyk, Jamajka, Grenada, Saint Lucia, Saint Vincent i Grenadyny, Wyspy Zielonego Przylądka. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że kiedyś tę prelekcję usłyszę z cztery, o ile nie pięć razy.

Po długiej prelekcji i pod koniec całego świętowania była okazja zamienić kilka słów z Piratem Dyplomatą. Skoro on tyle podróżuje, to muszę pochwalić się też i moimi przygodami. Na pierwszy ogień idzie oczywiście piesza droga do Rzymu. Minął dopiero rok z hakiem od tej wyprawy, więc temat wciąż dla mnie świeży. Od razu z Piotrkim złapaliśmy bluesa. Żegnając się, mówiliśmy, że musimy się jeszcze kiedyś spotkać.

Udało się rok później na Beskidzkim Festiwalu Podróżników, którego Piotrek jest jednym z organizatorów. Wydarzenie odbyło się w plenerze, na Soszowie w Wiśle.

Zebranej publiczności opowiedziałem o mojej wędrówce ze Środy Wielkopolskiej do Rzymu. Wtedy też drugi raz usłyszałem prelekcję Piotrka o jego wozach. Tydzień później ponownie się spotkaliśmy, tym razem na 1. Zlocie Szybkich Podróżników w PTTK Andrzejówka w Rybnicy Leśnej. Ja opowiadałem o Rzymie, a Piotrek o swoim pirackim życiu. Później nastąpiła przerwa, trwała do lipca 2022 roku. Na Wyspie Edwarda w Zaniemyślu odbyła się 3. edycja Zaniemyskiego Dnia Podróżnika. Teraz to ja byłem gospodarzem, a Piotrek prelegentem. Tytuł wystąpienia: „Jak zostać piratem z Karaibów?”. Jakżeby inaczej. I tu mała przerwa w dalszym wymienianiu naszych spotkań. Bo kilka miesięcy przed festiwalem nastąpił przełom. Znalazłem współtowarzysza mojej wyprawy na Grenlandię. Został nim Piotrek! Jak do tego doszło?

To był impuls. Śledzę działalność Piotrka uważnie, co chwilę wyrusza po nowe przygody. Mieszka w górach, chodzi polskimi szlakami zimą, nie boi się też i zagranicznych wypraw. Wędruje, jeździ rowerem, pływał jachtostopem. W pewnym momencie powiedziałem sobie: „Jędrak, przecież znasz Piotrka! Dlaczego jego nie zapytasz o Grenlandię?”.

5 stycznia 2022 roku, 10:27

Elo. Co byś powiedział na wspólną pieszą wyprawę? Marzec 2023, Grenlandia – Arctic Circle Trail – brzmiała pierwsza wiadomość wysłana Piotrkowi na Facebooku.

I druga: *Planuję ją od 2 lat. Ale nie mam z kim. Wszyscy się boją. A Ty jesteś kozak.*

Piotrek: *Kurde, ale mnie zaskoczyłeś. No ja generalnie to ostatnio złapałem zajawkę na długie szlaki i nie mam jeszcze planów na 2023, więc w sumie możemy to ogarnąć!*

Reszta to już historia...

W tym samym roku, na przełomie lutego i marca, Piotrek, jak twierdzi, dokonał pierwszego i jedyne zimowego przejścia tam i z powrotem Niebieskim Szlakiem Granicznym, uznawanym za najdłuższy szlak w Polsce. Przeszedł 990 kilometrów. Wcześniej w zimowych warunkach przeszedł Główny Szlak Beskidzki i Główny Szlak Sudecki. A rok 2022 zakończył, przechodząc Narodowy Szlak Izraelski – tysiąc czterdzieści pięć kilometrów kanionów, gór i pustyni na Bliskim Wschodzie. Właściwy człowiek na właściwym miejscu! – Z nim na pewno uda się Grenlandia – mówiłem. Choć miałem też obawę. – Skoro jesienią Piotrek leci do Izraela na szlak, to czy znajdzie czas, siły i pieniądze, by kilka miesięcy później polecieć na Grenlandię? A co, jeśli mnie w ostatniej chwili wykiwa? Tłukło mi się po głowie wiele pytań. Zadawałem je także Piotrkowi, ale on mnie zapewniał, że polecimy i skoro się zgodził, to słowa dotrzyma. Gdy zacząłem sobie uświadamiać, że od tego momentu Grenlandia staje się możliwa, czułem olbrzymie szczęście, radość – jakbym już na tej Grenlandii był. I czy to nie zabawne: gość niedługo leci do Izraela, a jednocześnie żyjemy już przygotowaniem na arktyczną wyprawę.

Mieliśmy ponad rok do wylotu. Początkowo rzadko się zdzwaniailiśmy. Nie było pośpiechu. Wiedzieliśmy, że musimy ogarnąć sprzęt, pieniądze i przygotować organizmy do wysiłku. Przygotowania przyspieszyły bardziej, gdy 13 kwietnia oficjalnie ogłosiliśmy w mediach społecznościowych nową wyprawę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to na pewno dobra decyzja. Przez ten czas może się jeszcze wiele zmienić. A jeśli jednak nie polecimy? Po co robić szum, a potem się tłumaczyć? Ale ostatecznie to miało bardzo dobry na mnie wpływ. Świadomość, że o wyprawie nie wiedzą już tylko moi najbliżsi, ale teraz setki innych osób, działała motywująco. Wiedziałem, że nie mogę sobie dawać taryfy ulgowej. Muszę się do tych przygotowań przyłożyć, dać z siebie wszystko, zacząć myśleć o tym, co mamy do zrobienia. Poświęcić temu czas. Dni, popołudnia, weekendy.

Mijał miesiąc za miesiącem. Z Piotrkim coraz częściej wymienialiśmy się wiadomościami. Dzwoniliśmy do siebie. Czasami były to rozmowy telefoniczne, a czasami wideo rozmowy przez różne aplikacje. Stworzyliśmy plik w Excelu. Powstały odpowiednie zakładki. Na początku nie zawierały nic. Z czasem informacji przybywało. Wypisywaliśmy, co mamy do zrobienia, co udało już się zrobić. Każdy miał swoje zadania. Dzieliliśmy się efektami naszej pracy. Program zawierał kwestie związane ze sprzętem, wyżywieniem, listę partnerów, czyli firm, które mogą wesprzeć naszą wyprawę lub które już to zrobiły. Nie zabrakło także patronów

medialnych, czyli wątku związanego z nagłośnieniem w mediach naszej podróży. Od początku przygotowań zakładałem, że muszę mieć na wyprawę dwadzieścia tysięcy złotych. Ostatecznie wydam kilka tysięcy mniej.

Innym z ważnych aspektów naszych przygotowań były treningi. Piotrek pod tym względem miał łatwiej. Mieszka w górach, wystarczy, że wyjdzie z domu i już ma niezły wysiłek. On, by pójść do sklepu w Istebnej, musi iść non stop pod górę. Po okolicznych trasach ciągnął oponę, a później dwie. Imitowały ciężar, jaki będzie ciągnąć za sobą na arktycznym szlaku. Nie dawał sobie taryfy ulgowej. Ja jestem z Wielkopolski, więc u nas o takie wrażenia niezwykle ciężko. W maju rozpocząłem więc przygotowania w Kuźni, czyli centrum fitness w moim mieście. Pod czujnym okiem trenera Mikołaja Florka pracowaliśmy nad ciałem. Wzmacnialiśmy nogi, lędźwie, barki. Trenowaliśmy wszystkie partie ciała, ze szczególnym nastawieniem na te, które podczas wyprawy będą najbardziej eksploatowane. W Kuźni pojawiałem się raz w tygodniu, czasami co dwa lub trzy tygodnie. Za każdym razem dostawałem niezły wycisk. Po tych treningach kilka dni dochodziłem do siebie, mimo że kontakt ze sportem mam od dziecka. Wychowałem się na osiedlu, gdzie zawsze z kumplami graliśmy w piłkę, jeździliśmy

na rowerach czy biegaliśmy po krzakach, garażach i innych osiedlowych wertepach.

Im bliżej do wyprawy, tym więcej trenowałem. Biegałem ulicami miasta, znów, tak jak przed wędrówką do Rzymu, wbiegałem na Górkę Wojtaszaka nad jeziorem. Jedyne miejsce w mieście, w którym mogę poczuć się odrobinę jak w górach. Chodziłem też z plecakiem wypełnionym książkami. Odwiedziłem pływalnię. Rozciągałem się w domu. Nie był to zmarnowany czas. Najwięcej dała mi wspomniana Kuźnia. Chciałem mieć kogoś nad sobą. Nie wiem, czy sam z siebie miałbym motywację, by tak ciężko trenować. Wsparcie trenera Mikołaja było bezcenne. Po blisko trzech latach przerwy udałem się też na zimowy biwak w namiocie. Drugi w życiu. W styczniu 2020 roku nocowałem w namiocie z Tomkiem, a w grudniu 2022 roku z Piotrkim. Miejscem treningu stała się Zbójnicka Ścieżka Trzech Harnasi w Beskidzie Śląskim i Żywieckim, pomiędzy Trójstykiem w Jaworzynce a Rajczą. Przeszliśmy z Piotrkim około dwudziestu kilometrów. Plecaki na plecach, śnieg wielokrotnie po kolana, a minimum za kostki. Nie było łatwo. Momentami dla mnie bardzo ciężko. Okropnie. Dostałem solidny wycisk. Narzekałem i denerwowałem się nieraz, ale ostatecznie taki był cel. Lepiej dostać łomot w Polsce niż na Grenlandii. Szliśmy do późnych godzin wieczornych. Piotrek wyprowadził nas pod koniec wędrówki celowo na bardziej wymagającą trasę. Rano okazało się, że zamiast iść tak jak prowadzi ścieżka, szliśmy wzdłuż wyciągu narciarskiego.

– Piotras, ile nam zostało do końca? – pytałem wielokrotnie.

– Jeszcze siedemset siedemdziesiąt metrów – mówił od dwóch godzin Piotrek.

Byłem sfrustrowany. Dookoła ciemność. Śnieg do kolan. Coraz stromiej. Wyczerpanie psychiczne i fizyczne maksymalne.

Po dotarciu do celu, rozbiliśmy namiot. Ciasny, letni, zaraz obok mnie chrapiący Piotrek. Na zewnątrz -12 stopni Celsjusza. Mimo chrapania, spało mi się



o wiele lepiej niż przed trzema laty. Tym razem miałem o niebo lepszy śpiwór. Taki do -40 stopni Celsjusza, kupiony przez panią Monikę i jej męża Rafała, czyli jednych z partnerów naszej wyprawy. Rano, po wynurzeniu głowy z namiotu, naszym oczom ukazały się cudne widoki. Przepiękna panorama gór. Między jednym a drugim szczytem mgła niczym rozlane mleko. Poza tym mnóstwo śniegu, a nad naszymi głowami pięknie świecące słońce. Zostały trzy miesiące do wylotu na Grenlandię.



Rozdział 7

Gaz, benzyna i szczekające psy

Wiadomość z Grenlandii: Wszystko ok. Idziemy.

Wiadomość będzie bardzo późno

3 marca 2023 roku, Sisimiut, Grenlandia

W budynku lotniska wielkości kilku pokoi rozpakowujemy w końcu nasze sanie. Szykujemy się do rozpoczęcia marszu. Zakładamy uprząż z szelkami i wychodzimy przed budynek. Podpinamy się do sanek. Zaczyna się! Zaczyna się nasza przygoda.

Ruszamy w kierunku Sisimiut. Przed nami około czterech i pół kilometra marszu do centrum. Miasto dość szybko zauważamy z daleka. Zarówno pobocze, jak i środek drogi pokrywa śnieg. Ze spokojem damy radę iść, nie będziemy ciągnąć sanek po asfalcie. Trasa wiję się raz w prawo, raz w lewo. Lekko w górę i w dół. Mijają nas pojedyncze samochody. Po przejściu pewnego odcinka po

prawej stronie, widzimy zatokę skutą lodem i miejscami pokrytą śniegiem. Patrę najpierw przed siebie, później w dół. Przyglądam się jej. Nie jest to taki gładki lód. Są na nim różne wzory, szlaczki. Kojarzy mi się z mapą województw. Te mniejsze fragmenty przypominają województwo śląskie i opolskie. Te większe mazowieckie, lubuskie, wielkopolskie. Nie mogę oderwać od tego wzroku. Pierwszy raz w życiu widzę zamrażającą zatokę. Gdy patrę w lewo, dostrzegam góry. Są piękne, mają ciemny, metaliczny kolor. Skały miejscami pokryte śniegiem. Idę przed Piotrkim, nie rozmawiamy. Nie wiem, jak on, ale mnie zahipnotyzowało, opanował mnie spokój. Patrę raz w prawo, raz w lewo. W dół i w górę. „Jestem na Grenlandii! To jest Grenlandia!” – mówiłem w myślach wiele razy. „Grenlandia, Grenlandia, Grenlandia” – nazwa największej wyspy na świecie krążyła w mojej głowie. Znów czuję ten szczypiący w nosie mróz. Dziurki nosa przyklejają się do siebie, jakby miały zaraz przymarznąć na dłużej. Tak się oczywiście nie dzieje. Podciągam mój komin wyżej, by było mi cieplej w szyję i twarz. Nie wiem, jaki dziś mróz, ale dzień wcześniej w Kangerlussuaq jeden z ekranów lotniskowych pokazywał -14 stopni Celsjusza. Gdyby nie sanki, byłoby tu bardzo cicho. Słysząc jednak, jak trą o wyjeżdżony śnieg pod naszymi stopami. Uświadamiam sobie, że ten dźwięk towarzyszyć mi będzie przez najbliższy miesiąc. Na niebie szare chmury, miejscami ciemnogrnatowe, próbuje się przebić przez nie słońce, część nieba pokrywają ogniste kolory.

Jest 12:47. W Polsce 16:47. Docieramy do mostu. Wejdziemy nim do Sisimiut. Przed chwilą minęliśmy z lewej strony kilka domków w kolorze ceglonym, z białymi drewnianymi tarasami, wybudowanych na okazałej skale. Kawałek za nimi stoi piękny błękitny, z dwoma białymi tarasami. Wszędzie dookoła śnieg. Idziemy mostem. Za chwilę dotrzemy do czegoś na wzór skrzyżowania. Tuż za nim skaliste wzniesienie z pobudowanymi domami. Z prawej strony widzę port, kontenery, średniego rozmiaru statek. Jest i woda, niezamarznięta! „Pewnie co jakiś czas wpływa tu większy statek z dostawą jedzenia, więc ta część zatoki nigdy nie zamarza” – zastanawiam się, idąc. Jak wskazywał jeden z mijanych przed chwilą znaków, do szlaku Arctic Circle Trail pozostało cztery tysiące dwieście metrów. Ale zanim się na nim znajdziemy, musimy dotrzeć do centrum miasta, kupić gaz i benzynę do kuchenek. Chcemy także zaliczyć market, by nie wyjadać jeszcze nic z zapasów przywiezionych z Polski. Skręcamy w lewo, droga prowadzi w górę. Pierwszy raz ciężko się idzie. Czuję ciężar sań. Po pewnym czasie docieramy do marketu. Duży budynek, w większości niebieski, fragmenty czerwone i białe. Nad wejściem nazwa sklepu, spory napis Brugseni, litera „g” w barwach grenlandzkiej flagi, kilka metrów obok na ścianie zamontowana mapa Grenlandii. Wchodzimy do środka. Sanki zostawiliśmy przed wejściem, bo przecież kto chciałby kraść ważący ponad trzydzieści kilogramów sprzęt.

Idziemy alejką, przyglądamy się produktom. Analizujemy ceny. Nie minęło nawet pięć minut, gdy nagle zza pleców słyszymy głos. Ktoś mówi do nas po angielsku.

– *Hi, guys!*

Odwracamy się. W średnim wieku kobieta uśmiecha się do nas szeroko i przedstawia. Ma na imię Lisa. Nie łapiemy, co się dzieje. Dopiero gdy mówi, że jest opiekunką szlaku Arctic Circle Trail, rozumiemy.

– *Hiii!* – wołamy radośnie. A to dlatego, że Lisa pisała do mnie kilka dni wcześniej na Instagramie. Trafiła na mój profil po przeczytaniu artykułu poznańskiej „Gazety Wyborczej” o naszej wyprawie. Regularnie śledzi, co pojawia się o szlaku w mediach. Więc gdy zobaczyła artykuł, to przetłumaczyła go za pomocą internetowego tłumacza i postanowiła się odezwać. Napisała z profilu Destination Arctic Circle, który prowadzi. Przedstawiła się w wiadomości jako menedżer szlaków i treści internetowych także dla Arctic Circle Trail. Była zainteresowana po wyprawie rozmową o naszych doświadczeniach z trasy. Chce je umieścić na stronie internetowej szlaku. Prosiła, byśmy dali jej znać, gdy będziemy ponownie w Sisimiut. Oczywiście, zgodziliśmy się, ale kto by pomyślał, że spotkamy się już pierwszego dnia. Zdradziły nas sanki zostawione przed sklepem.

– Gdy je zobaczyłam, wiedziałam, że to musicie być wy! Bo któż by inny? – tłumaczyła Lisa.

Menedżerka szlaków zostawiła nam do siebie numer telefonu i wyszła ze sklepu. A my kontynuowaliśmy

przeгляд produktów. Po zakupach zjedliśmy na szybko bułkę i hot doga. Popiłem to wszystko jogurtem. Kolejny nasz cel to sklep z kartuszami gazowymi. Początkowo myśleliśmy, że będą właśnie w Brugseni. Obsługa marketu pokierowała nas do innej części miasta. Piotrek dodatkowo sprawdził mapę w telefonie. Poszliśmy jedną z ulic w dół, w kierunku portu. Słońce przebiło się przez chmury. Zrobiło się bardzo ładnie, choć wciąż mroźnie. Ludzie przyglądali się nam i naszym sankom. Ciężko określić, co wyrażały ich miny. Zdziwienie, ciekawość? A może się z nas śmiali? Nie mam pojęcia. Ale prawie każda mijająca nas osoba uśmiechała się, witała. Skinęła delikatnie głową lub dłonią. Przed wyprawą słyszałem, że na Grenlandii ponoć to normalne, że wszyscy się ze sobą witają.

Docieramy do drewnianego budynku, także w kolorze niebieskim. Znów odpinamy sanki i zostawiamy przed schodami prowadzącymi do wejścia. Za ladą na ścianie wisi broń. Piotrkowi wpada w oko szczególnie jedna – różowa. Śmiejemy się, że taka by nam się przydała. Na Grenlandii dostęp do broni jest bardzo swobodny, wystarczy być osobą pełnoletnią. Można ją kupić nawet w pobliskim sklepie, idąc na zakupy spożywcze. Mówiąc jednak poważnie, broń na szlaku nie jest nam potrzebna, bo spotkania z niedźwiedziami w tej części Grenlandii i wzdłuż szlaku są bardzo rzadkie. Taką informację przeczytaliśmy na oficjalnej stronie internetowej Arctic Circle Trail. Kupujemy jedynie dwanaście kartuszy

z gazem i wychodzimy. Kolejny nasz cel – stacja benzynowa. Idziemy dalej w dół. Docieramy do portu. Odnoszę wrażenie, że mogliśmy dotrzeć tu szybciej, wybierając po zejściu z mostu drogę nie w lewą, a w prawą stronę. Wchodzimy do niewielkiego... tak, kolejnego niebieskiego budynku. Drzwi otwarte na oścież, a na ścianie budynku widniejący napis TANK kiosk. Szukamy kanistra. Choć przechodząc wąską alejką, odnoszę wrażenie, że w tym miejscu mógłbym kupić absolutnie wszystko. Kupujemy plastikowy kanister i idziemy tankować. Za trzy litry benzyny w przeliczeniu na polską walutę płacimy około dziewięciu złotych. Dziwimy się, bo w Polsce zapłacilibyśmy ze dwadzieścia.

Zadziwią nas także nieraz kolory budynków. Wiąże się z nimi pewna historia. Dawniej Grenlandczycy mieszkali latem w namiotach ze skór, a zimą w domach z torfu. Wraz z przybyciem Duńczyków na wyspę i rozpoczęciem epoki kolonialnej sytuacja zaczęła się zmieniać. Na Grenlandii pojawiły się drewniane kolorowe konstrukcje. Kolory nie tylko uatrakcyjniały wygląd miast, ale pełniły przede wszystkim praktyczną funkcję. Ułatwiały rozróżnienie budynków. Czerwone oznaczały kościoły, szkoły, sklepy i budynki rządowe. Żółte były szpitale i budynki związane ze służbą zdrowia. Niebieskie fabryki ryb, zielone budynki telekomunikacyjne, a czarne posterunki policji. Dziś nie ma sztywnych reguł, na jaki kolor ma być pomalowany budynek. Ale niektóre, na przykład szpitale, do dziś są żółte.

„Wiele budynków w mniejszych osadach Grenlandii nadal ma taką formę, a nawet nowoczesne konstrukcje w większych ośrodkach czerpią z tego wpływu”¹³ – czytamy na stronie Guide to Greenland.

Wszelkie formalności załatwione. Można ruszać w trasę! Idziemy ulicami Sisimiut. W okolicy cmentarza podchodzi do nas trzech chłopców. Mogą mieć dziesięć, maksymalnie dwanaście lat. Oglądają nasze sanki. Zadają pytania po grenlandzku. Nie rozumiemy. Próbuje mówić do nich po angielsku. Powiedzieć, co tu robimy, jakie mamy plany. Patrzą się na siebie i śmieją. I znów coś do mnie mówią. Rzucam im krótsze zdania, pojedyncze słowa po angielsku. Teraz widać, że bardziej łąpią. Sympatyczne chłopaki. Uśmiechają się od ucha do ucha. Idą z nami kilkaset metrów, nie spuszczając naszych sanek z oczu. Czasami idą za nimi, momentami obok. Odprowadzają nas prawie do wyjścia z miasta. Po czym kiwiają i odchodzą. A my wchodzimy do Dog Town, psiego miasteczka. Dziesiątki, o ile nie setki, grenlandzkich psów witają nas szczekaniem. Ich sierść biała, miejscami ciemno lub jasnobrązowa. Patrzą na nas, wyją. Prawie każdy z psów przypięty do łańcucha. Dookoła śnieg, a na nim pełno psich odchodów. Co pewien czas mijamy coś na wzór kojca, budy i schowka. Przy nich duże drewniane sanie. Nie jest to odpowiednie miejsce dla wrażliwych osób,

szczególnie miłośników psów i obrońców praw zwierząt. Ale tu, na Grenlandii, te zwierzęta muszą tak żyć, by nie straciły swoich właściwości. Psie zaprzęgi są środkiem transportu podczas polowań, choć coraz częściej zastępują je skutery śnieżne, a tym samym psi zaprzęg staje się bardziej atrakcją turystyczną. Idąc przez Dog Town, widzimy tablice *dogsledge taxi*. Można wykupić wycieczkę i wyjechać z psami w teren. W internecie, na stronie Guide to Greenland, znalazłem opis atrakcji.

„Usiądziesz za maszerem na saniach, aby zobaczyć, jak człowiek i pies współpracują, podróżując przez arktyczną dziczą. Żaden silnik nie hałasuje, słychać tylko szuranie sań po śniegu i lodzie oraz sapanie psów i kłapanięcia ich łap. Dwugodzinna podróż zabierze cię do podnóża góry Niujarfik, zanim wejdiesz na wyższy teren na północny wschód od Sisimiut, aby podziwiać niesamowite widoki”¹⁴.

Widok psów grenlandzkich przerażał mnie. Pewnie teraz zranię serca wszystkich wielbicielek i wielbicieli tych słodkich czworonogów, ale od najmłodszych lat nie przepadam za psami. Boję się ich. Nigdy nie lubiłem, gdy pies chcąc się radośnie ze mną przywitać, podskakiwał, wachał, ślinił się. Na osiedlu nieraz podczas jazdy na rowerze lub gry w piłkę gonił mnie i kumpli pies sąsiadów. Raz mnie ugryzł. A zawsze słyszałem, że jest grzeczny i nic nie robi. Gdy chodziliśmy z ministrantami na kolędy, najgorszym momentem było dzwonienie lub pukanie do drzwi.

„Będzie pies czy nie?” – zastanawiałem się za każdym razem. Kiedy słyszałem szczekanie psa, momentalnie chowałem się za plecami kolegi. A tu teraz Grenlandia i kilkaset wyjących psów. Jak się nie bać? Jestem w koszmarze, z którego nie da się obudzić. A jeszcze pojedyncze nie były przypięte do łańcucha. Kilka dorosłych okazów i kilka szczeniaków. Podchodziły do nas. Wąchały nas i sanki. Narastał we mnie stres. Chciałem z tego miasteczka jak najszybciej zniknąć i znaleźć się na szlaku. Piotrkowi podobało się, ja jednak nie podzielałem jego entuzjazmu.

Ale widok sań i psów fascynował mnie. Tylko z jednego powodu. Przed wyprawą przeczytałem dwa reportaże o Grenlandii i w nich były opisy psów i podobnych do tego miejsc. A teraz widzę to na własne oczy. Niesamowite uczucie.



Sisimiut – druga największa miejscowość na Grenlandii





Za 12 kartuszy gazowych zapłaciliśmy około 430 złotych





Pierwsze chwile w Sisimiut to odwiedzanie niebieskich budynków



Po wejściu do psiego miasteczka chciałem jak najszybciej z niego zniknąć